

WOJCIECH GUZ

ur. 1959; Lublin



| | |
|-------------------------|---|
| Miejsce i czas wydarzeń | Lublin, PRL |
| Słowa kluczowe | Lublin, PRL, podziemne drukarstwo, papier, sprzęt drukarski |

Tajna drukarnia

Dla działalności tajnej drukarni niezbędny był lokal. To jest bodaj podstawowa sprawa, a bywało z tym różnie w różnych okresach. Drukarń podziemnych, czyli lokali, których nam użyczali życzliwi ludzie, przez siedem lat, gdy byłem podziemnym drukarzem, było ponad 20.

Idealnym miejscem był jakiś domek jednorodzinny, choć zdarzało się nam drukować i w bloku. Przez pewien czas używałem też lokalu na 10, czy 11 piętrze w bloku, to była hala maszynowni windy, do której ktoś mi użyczył klucz – to było świetne miejsce, ponieważ winda hałasuje, a maszyna drukarska też hałasowała jak drukowaliśmy na offsecie czy powielaczu. To była jedna z ciekawszych lokalizacji. Na ogół były to garaże lub poddasza domków jednorodzinnych, gdzie trzeba było maskować charakterystyczny jednostajny stuk, hałas maszyny drukarskiej, więc po prostu nastawiało się głośno muzykę albo tworzyło się jakąś legendę dla sąsiadów. Na przykład, że tam działa jakaś maszyna dziewiarska czy coś takiego; takie historie były opowiadane sąsiadom, którzy się dopytywali, „co tam u państwa na strychu tak hałasuje”.

Drugim elementem, poza lokalem, był sprzęt podstawowy, później był to sprzęt przekazany nam w użytkowanie przez struktury związkowe, i papier, o który trzeba było cały czas się starać, farby – przechodząc na bardziej zaawansowane techniki drukarskie, czyli drukując na offsecie – nie można było zastąpić żadnymi wynalazkami. Farby ani płyty offsetowej. Wszystko opierało się na kontaktach w państwowych drukarniach albo z ludźmi, którzy mieli dostęp do dostaw tego sprzętu i materiałów z Zachodu. Trzeba przyznać, że przez całe lata 80., mimo wielu wpadek, dość regularnie przychodziły transporty farb drukarskich, płyt offsetowych. Dużo więcej oficyn było w Warszawie, więc pojawiły się też kontakty warszawskie i dzielili się z prowincją.

Ostatni element, a może pierwszy, konieczny do funkcjonowania tajnej drukarni to po prostu ludzie, którzy byli skłonni poświęcić temu czas, a czasu potrzeba było dużo, bo

to były czasochłonne techniki. Wydrukowanie jednego numeru „Informatora” to kilkanaście godzin pracy, zwykle cała noc albo trochę więcej niż noc.

Z pracą introligatorów było różnie, ale na ogół odbywała się ona w innym miejscu niż drukarzy. Nakład był przenoszony z drukarni, ponieważ w tej samej drukarni drukowało się poza książką również takie rzeczy, jak biuletyny, informatory. Właśnie te druki stanowiły priorytet, a cała działalność książkowa wydawnicza, była dodatkiem do tej działalności, która miała dostarczyć środków na wydawanie biuletynu, który był bezpłatny albo były dobrowolne wpłaty od odbiorców, ale tego nikt raczej nie próbował sprzedawać. Dlatego – aby chronić drukarnie i ze względu na potrzebę miejsca – zwykle nakład po wydrukowaniu książki był przewożony partiami w inne miejsce. Do tego celu sprawdzały się domy usytuowane poza miastem, wiejskie. Dłuższy czas korzystałem z takich właśnie letnich domów w okolicach Lublina, gdzie po prostu przyjeżdżała ekipa kilkusobowa na tydzień, razem z prowiantem i spaniem na miejscu, nie wychodząc z obrębu gospodarstwa, żeby się nie rzucać w oczy, a wyjeżdżaliśmy stamtąd, gdy książka była gotowa. Taki system sprawdzał się dość dobrze. Później ktoś przyjeżdżał po gotową książkę i stamtąd odbywał się transport już gotowej książki.

Nie powinno się korzystać drugi raz z tego samego miejsca, ale różnie z tym bywało, bo deficyt lokali był tak samo dotkliwy jak deficyt papieru. Często jakieś zasady BHP, tak jak to się wtedy nazywało, czyli bezpieczeństwa, mówiły o tym, że lokal na drukarnie przynajmniej raz na kilka miesięcy należy zmienić, bo wcześniej czy później ktoś zwróci uwagę na to, że jest jakiś podejrzany ruch i ktoś kursuje ciągle z wypchanymi torbami. To nie zawsze było możliwe, bo nie było drugiego lokalu. Chociaż zdarzało się również, że decydował o tym gospodarz. Czasami miał już dość stresu albo sąsiad zaczął się interesować i trzeba było się stamtąd ewakuować, choć często nie było dokąd. Były takie lokale, gdzie działaliśmy po pół roku zamiast założonego miesiąca czy dwóch – było założenie, żeby nie drukować w jednym miejscu dłużej niż miesiąc. Bardzo często były od tego odstępstwa. Zdarzało się też, że po pewnym okresie wracaliśmy do tego samego lokalu. Na przykład na ulicy Kossaka u pani Sapały był taki lokal, do którego w ciągu siedmiu lat wracaliśmy trzy czy cztery razy, był cały czas w rezerwie.

| | |
|--------------------------------|--|
| Data i miejsce nagrania | 2005-08-24, Lublin |
| Rozmawiał/a | Tomasz Czajkowski |
| Redakcja | Elżbieta Zasempa, Monika Śliwińska |
| Prawa | Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN" |